Nr. 349. We Lwowie — Środa 16. Grudnia 1896. Rok XXXVI.

GAZETA NARODOWA

Przedpłata na „Gaz. Nar." wynosi: we Lwowie; na prowincyi; za granicą: miesięcznie 1 zł. 50 ct., 2 zł.; kwartalnie 4 zł. 50 ct., 6 zł., 7 zł. 50 ct.; półrocznie 9 zł., 12 zł., 15 zł.

Prenumeratorowie miejscowi składający przedpłatę bezpośrednio w administracyi Gaz. Nar. (ul. Karola Ludwika 3) mają prawo zupełnie bezpłatnego wypożyczania książek z czytelni H. Altenberga (dawniej F. H. Richtera).

Wszyscy prenumeratorowie mogą otrzymywać tygodnik humorystyczny SZCZUTEK za dopłatą: miesięcznie 25 ct., kwartalnie 75 ct.

Doniesienia prywatne, jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, dalej nekrologi, opisy zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i td. przyjmuje się do umieszczenia tylko za opłatą po 50 centów od wiersza.

Numer kosztuje 6 ct.

wychodzi w dwóch wydaniach: dla Lwowa o godzinie 8 rano — dla prowincyi o godzinie 7 wieczorem.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ przyjmują: we Lwowie: Administracya Gazety Narodowej ul. Karola Ludwika l. 3; w Paryżu: C. Adam Ciborowski 38 rue de Varenne Paris; we Wiedniu: Haasenstein & Vogler (Otto Maas) Wallfischgasse 10 — Rudolf Mosse Seilerstätte 2 — A. Oppelik Grünangergasse 12 — M. Dukes Wollzeile 6 — Schalek Wollzeile 11 i J. Danneberg, I. Wollzeile 19; w Hamburgu: A. Steiner; w Frankfurcie n. M. Haasenstein & Vogler i G. L. Daube & Comp.; w Warszawie: Rajchman & Frendler.

CENA OGŁOSZEŃ: Ogłoszenia zwyczajne za jednoszpaltowy wiersz drobnym drukiem lub jego miejsce 10 ct. — Nadesłane za wiersz lub jego miejsce 30 ct. — [illegible] za wiersz lub jego miejsce [illegible] ct. — Prywatne korespondencye [illegible] ct. od wyrazu. — Karty korespondencyjne dla drobnych ogłoszeń 30 ct.

BIURA REDAKCYI: ul. Kopernika 7. I. piętro otwarte od 10—12 rano i od 4—5 wieczorem.

Redaktor: Dr. ALEKSANDER VOGEL.

BIURA ADMINISTRACYI: ul. Karola Ludwika 3 (sklep) otwarte od godz. 8 rano do 7 wieczorem bez przerwy.

Z obozów radykałów naszych.

III.

Lwów d. 15. grudnia.

Bardzo ciekawym typem w szeregach naszych radykałów jest niewątpliwie dr. Iwan Franko, jeden z głównych kierujących współpracowników *Kuryera Lwowskiego*, a zarazem przewódca duchowy stronnictwa ruskich radykałów i właściwy *spiritus agens* polskich „ludowców", działających pod firmą pp. Lewakowskiego, Rewakowicza, państwa Wysłouchów, Stapińskiego itp. Człowiek to benedyktyńskiej pracowitości, niepospolicie utalentowany, u którego każdy krok, każda minuta życia, wszystkie pragnienia i dążenia są poświęcone ukochanej przez niego idei: zrzucenia przez masy proletaryatu jarzma przewagi t. z. „klas uprzywilejowanych" i wprowadzenia ludzkości w złoty wiek powszechnej równości — ale równości w duchu zrównania najwyższych z najniższymi — panowania nad światem proletaryatu, motłochu bezmyślnego!

Dr. Franko prowadzi walkę nieubłaganą z klasami nie należącemi do proletaryatu słowem i piórem od najmłodszych lat — prowadzi ją konsekwentnie, wiernie i wytrwale, a przedewszystkiem bardzo pracowicie. W dziennikach ruskich, polskich, rosyjskich i niemieckich, naturalnie w takich, które zbliżają się do jego poglądów, prowadzi on niezmordowaną propagandę zawiści społecznej, która u niego religię zastępuje, głównie zaś walczy on przeciwko polskiej szlachcie, która w jego pismach figuruje zawsze jako żywioł despotyczny, złośliwy, mściwy i okrutny, przez niesprawiedliwość społeczną wyniesiony na dominujące stanowisko, ale według prawideł sprawiedliwości i logiki zasługujący na wzgardę i wytępienie bezwzględne.

Najwięcej pisze dr. Franko w języku ruskim i pisma jego ruskie: dramata, drobniejsze utwory poetyczne, tudzież rozprawy polityczne i naukowe stanowiłyby już pokaźną biblioteczkę. Niezrównanym jest jednak pisarzem ludowym. Lecz we wszystkiem co pisze, czy to o ludzie, czy dla ludu, wije się jak nić czerwona jedna dążność zasadnicza, podniesiona u niego do znaczenia dogmatu, do ideału: propaganda w legalne formy zamkniętej, ale głębokiej, bezwzględnej i nieprzejednanej zawiści chłopa do „pana", do „popa" i wogóle pogardy dla istniejącego porządku społecznego.

Przytoczymy tu parę próbek z jego pism popularnych na dowód, w jaki sposób dr. Iwan Franko swój piękny talent pisarski zużytkowuje.

Oto weźmy w rękę np. skromniutką broszurkę, sprzedawaną po 5 centów, zatytułowaną: *Jak pan sobi bidy szukau?* Jest to niby bajka, której bohaterem jest młody panicz, wypieszczony przez fortunę, bogaty, z świetnem wykształceniem, nabytem w najsławniejszych uniwersytetach zagranicznych. Nigdy nie zaznał on najmniejszych przeciwności losu — życie ścieliło się przed nim zawsze jedwabnym kobiercem. Zastanawiając się więc głęboko nad zagadnieniami tuziemskiego bytu człowieka, doszedł za pomocą wnioskowania, przeprowadzonego według prawideł najsławniejszych mistrzów filozofii, że właściwie biedy nie ma na świecie, że jeżeli ktoś mówi o biedzie w tem życiu, ten jest chyba szubrawcem albo niedołęgą.

Gdy tak rozmyśla głęboko nad swojemi teoryami o szczęściu ludzkiem, spotyka starego sadownika, który służył u jego ojca i dziada, a który, chcąc dogonić chłopaka, kradnącego gruszki z pańskiego sadu, wpadł w rów i zwichnął, czy złamał nogę. Głośno on zawodzi:

— Oj biedaż moja, bieda ze złodziejami!

— Co za bieda, jaka bieda! — wpada na niego rozsierdzony pan-filozof — biedy nie ma na świecie; bieda, to tylko wymysł niezdarów takich, jak ty. Marsz z mojego domu, nie masz u mnie miejsca!...

— Oj biedaż moja, bieda — zawodzi staruszek — cóż ja teraz pocznę na stare lata, pod cudzym płotem zginę!

Ale nic to nie pomogło. Filozof idzie dalej. Tu napędził won ze służby parobka, który biadał nad tem, że łoszę nogę złamało; ekonoma, że nazwał biedą inny jakiś niefortunny przytrafunek gospodarski — aż zaszedł do stodoły, gdzie katowano kańczugami na boisku chłopa za to, że spóźnił się na pańszczyznę, mając w domu umierającą żonę i dziecię konające.

— Oj, ulituj się panie wielmożny nad moją biedą! — jęczy nieszczęsny!

— Co za bieda! jaka bieda! — woła pan rozgniewany. — Biedy nie ma. Zaniedbałeś to, co jest twoją powinnością, i masz teraz skutki twojego zaniedbania. Kara twoja jest logicznem następstwem braku poczucia obowiązku u ciebie — a nie jakąś tam biedą!

Gdy wracał do domu, zastaje na podwórzu gromadkę ludzi otaczających dwóch nieszczęśliwców związanych powrozami, którym rozpalonymi żelazami przypiekają oprawcy podeszwy, aby wymusić z nich zeznanie, że są złoczyńcami, chociaż nic złego nikomu nie zrobili. Obaczywszy pięknego pana zaczęli oni jęczeć:

— Oj panie, ratuj nas nieszczęsnych z naszej biedy!

Obruszył się znowu na te błagania nasz myśliciel, gdyż znowu wywnioskował zupełnie logicznie za pomocą swojej teoryi, że właściwie i ci biedacy nie wiedzą co to bieda — i kazał ich wrzucić do lochu. Poszedł na objad z rządcą swoim, w którym jedynego znalazł człowieka w otoczeniu swojem, który na zapytanie jego: „Co słychać? — odpowiedział mu zadowolony:

— Wszystko dobrze, wielmożny panie. O biedzie nie mówił, bo biedy nie miał, łupiąc lud i okradając filozofa naszego bez litości.

Ale jakiś demon — zapewne demon „Sprawiedliwości społecznej" według teoryj p. Franki — kazał wleźć panu w skórę chłopa — właśnie tego, którego bito w stodole. W chacie jego zastał na barłogu nędzy niegdyś swoją niańkę, która była wówczas hożem dziewczęciem niewinnem. Ojciec jego, starszy pan, zbezcześcił ją, i wydał za mąż za parobka, gdy mu się sprzykrzyła. Atamani pańscy znęcali się nad nią na pańszczyźnie, mąż poniewierał narzuconą mu wolą pańską żonę. Rozpiła się — i dogorywa teraz w suchotach. Na zapiecku kwili jej dziecina — braciszek młodego pana filozofa. Zobaczył on teraz, jak wygląda nędza ludzka i ulitował się nad jej ofiarami. Bo w gruncie nie miał złego serca, tylko nie wiedział, co to bieda. Zwyczajnie — pan... Wpada jednak do chaty posiepaka dworski, i wypędza go kosturem na łan pański, na pańszczyznę. Stęka nieborak i poci się przy pracy, do której nie nawykł. Rządca jego śmignął go raz i drugi nahajem przez plecy, dla podniecenia jego „poczucia obowiązku". Ścierpiał to panisko nieborak — bo cóż miał robić w skórze chłopa? Lecz gdy w jego obecności rządca jego zaczął wyszydzać go przed drugim kolegą, takim samym złodziejem, jak sam, z powodu jego „niepraktyczności" uczonej, na której pan rządca majątek robi, było mu tego już za wiele. Nie wiele myśląc chwycił za kół od kopicy siana, i zaostrzonym jego końcem przebił łotra. Naturalnie skrępowano go zaraz, skatowano i wrzucono do lochu tego samego, gdzie leżeli owi dwaj niewinni chłopi, podejrzani o kradzież, a w końcu t. zw. „sprawiedliwość" ludzka wysłała go na szubienicę jako chłopa, który powinien być egzemplarycznie ukaranym za niezmiernie zuchwały akt buntu przeciwko „porządkowi społecznemu".

Druga broszurka dr. Franki, równie zręcznie napisana w formie skazki ludowej, nosi tytuł „Świńska konstytucya". Sens jej moralny jest taki, że wobec teraźniejszego ładu społecznego prawo, jakoteż wykonawcy i stróże tego prawa, troskliwszą opieką otaczają świnię, niż chłopa.

Bajeczka ta była najpierw drukowana w jednym z lwowskich pism socyalistycznych *Die Zeit* — i jak [illegible] autor w ruskiem jej wydaniu, rozeszła się później przetłómaczona na różne języki i przedrukowana w rozmaitych czasopismach.

Jeszcze dosadniej objawia dążności pisarskie dr. Franki trzecia broszurka [illegible] Hromady, i poświęcona hrabiemu Lwu Tołstojowi jako „wielkiemu pisarzowi ruskiemu" — pod tytułem *Pijanycia*.

Bohaterem powiastki jest chłop pijaczyna, który gdy powracał raz z karczmy przebrawszy miarkę, zasnął w miękkim śniegu na śmierć. Chciał dostać się do nieba koniecznie — nie mając ani krzty ochoty popijać gorącą smołę w piekle. Święci robili mu jednak rozmaite objekcye przy wrotach niebieskich, nie chcąc wpuścić do nieba takiego opoja i pijaczyny, który zmarnował swój żywot, popijając się na śmierć.

Tu rozsnuwa dr. Franko z niezdrową finezyą swoje bluźniercze poglądy na zasady moralności i religii. Z jego opowiadania wynika, iż ostatni niecpoń siermiężny przecież jeszcze lepszy jest, niż urzędownie kanonizowani święci, którzy dostali się do nieba — ot, durniczką. Tą drogą wciska się ostatecznie do nieba i „Kłym pijanycia", bohater dr. Franki...

Czytamy w dzisiejszym *Kuryerze Lwowskim* następujący telegram z Wiednia:

Wiedeń d. 15. grudnia. W sali Hamburgera zebrało się wczoraj bardzo liczne zgromadzenie robotnicze, na którem dr. Franko mówił o galicyjskim ruchu ludowym, zarówno polskim i ruskim, oraz o walkach Rusinów z Polakami. Oprócz niego przemawiał jeszcze dr. Adler, poczem zgromadzenie zamknięto.

Według treści opowiadań dra Franki dla ludu przeznaczonych, o których powyżej wspomnieliśmy, łatwo nam wyobrazić sobie, w jakich barwach dr. Franko przedstawił swoim słuchaczom wiedeńskim nasz ruch ludowy, tudzież walki Rusinów z Polakami.

Jako inspirator i właściwy kierownik polskiego stronnictwa ludowego, współpracownik *Kuryera Lwowskiego*, a tudzież ruskich, rosyjskich i niemieckich pism socyalistycznych, jest dr. Iwan Franko w każdym razie osobistością wybitną i wpływową wielce. Jego talentowi, pracowitości i niezwykłej płodności pisarskiej należy się podziw, jego osobistej prawości szacunek, ale działaniu jego uwaga czujna — taka sama, jak działaniu dynamitu...

Stosunki polsko-rosyjskie.

Lwów d. 15 grudnia.

W ostatnim numerze petersburskiego *Kraju*, będącego organem tego stronnictwa w Królestwie Polskiem, które dąży do nawiązania jakiegoś *modus vivendi* z Rosyą, znajdujemy artykuł wyjaśniający, jakie pokrewieństwo ducha zachodzi między niem a krakowskimi stańczykami.

W uwagi godnym tym artykule czytamy:

„Pokrewieństwo pomiędzy nami a stańczykami tkwi jedynie we wspólnym punkcie wyjścia dla politycznych usiłowań. Nie ma zaś on żadnego związku ani z arystokracyą, ani z demokracyą, ani z konserwatyzmem, ani z liberalizmem; nie zbliża nas wcale [illegible] do społecznego charakteru partyi krakowskiej [illegible] w żadnym stosunku do praktycznych programów politycznych, bo polityka nasza nie jest i nie może być [illegible] i tylko do tego stopnia [illegible] wać swego stosunku do państwa rosyjskiego na przedlitawskich wzorach.

„Wspólny rdzeń poglądów stańczyków i naszych [illegible] sposób następujący: Zerwanie stanowcze ze spiskami i powstaniem, bo one nietylko do żadnego celu nas doprowadzić nie mogą, nietylko wyrwały nas [illegible] bytu narodowego [illegible] wanie drogiego czasu.

„Rozwój i dobrobyt społeczny wymagają szczerze lojalnego stosunku względem państwa, porozumienia z rządem; ciągła, bezwzględna, a wskutek tego i bezmyślna (to jest jedno znaczne) opozycya nietylko uniemożliwia skuteczną pracę nad postępem ekonomicznym i zaspokojeniem potrzeb narodowych, ale nas uniezdolnia politycznie do pracy nad zachowaniem bytu narodowego, potęguje kalectwo, w które nas parę wieków anarchii wtrąciło. Za punkt wyjścia do pracy nad przyszłością wziąć należy nieodzownie istniejący moment, istniejące warunki. Wszelkie ociąganie się, wszelkie rachuby i kombinacye inne, są wielkim błędem politycznym, odraczają chwilę pomyślniejszą, poważnie narażają nas na zawód, gdyby chwila taka przyszła niezależnie od naszego stanowiska i od naszych usiłowań. Zawodów podobnych i z tej samej przyczyny wiele już spotkało nasz naród w ciągu tego wieku. Te wytyczne punkty polityki narodowej są wspólne pomiędzy nami a stańczykami: Tylko one. Zresztą to wiele, gdyż [illegible] nasze rolę tu i tam, ale tożsamości ani społecznej, ani politycznej oczywiście nie stanowi."

Jest to nietylko chęć oczyszczenia się z [illegible] temu stronnictwu *quasi* ugodowemu w Królestwie Polskiem, ale niejako i cały program jego.

Wczoraj już zwróciliśmy uwagę na głos [illegible] *Petersb. Wiedom.*, skierowany ku nam [illegible] rusyfikatorom Królestwa Polskiego. Dziś jeszcze jeden ustęp z artykułu tego uważamy za potrzebne podać. „Szereg drobiazgowych szykan — czytamy w tym dzienniku ks. Uchtomskiego — robi wrażenie jakiegoś ucisku, wywołuje rozdrażnienie. [illegible]

Sprawa skoplijska.

Lwów d. 15 grudnia.

Sprawa skoplijska, na którą już nieraz zwracaliśmy uwagę, przybrała znaczenie, z powodu którego jest już daleko doniosłejszą od [illegible] macedońsko-bułgarskie. Skople (po turecku Ueskub) jest stolicą najbardziej na północ wysuniętego wilajetu (gubernii) macedońskiego, obejmującego oraz takzwaną Starą Serbię; liczy 30.000 mieszkańców, po jednej trzeciej Serbów, Bułgarów i Turków, a bardzo drobną garstkę Greków. Zresztą zwący się Bułgarami i do eksarchatu bułgarskiego należący mieszkańcy są przeważnie pochodzenia serbskiego. W ogóle z całej tej prowincyi Grecy zaledwo jedną dziesiątą część ludności chrześcijańskiej tworzą. Mimo to patryarchat carogrodzki ciągle nasyłał samych Greków na posadę metropolity skoplijskiego, co w najnowszych czasach, po obudzeniu się ducha narodowościowego, [illegible]

Jakoś ostatni metropolita Metody, jakkolwiek Grek i tylko z Grekami żyjący, uwzględniał Serbów o tyle, że im dozwalał nabożeństwa w języku słowiańskim. [illegible]

[illegible] nowaniu Greka metropolitą w Skoplu, ale i ambasador rosyjski poczynił odpowiednie kroki w Fanarze.

Sprawa skoplijska nastręcza Serbom upragnioną zdawna sposobność do zdobycia sobie niepodległości kościelnej. Zdaniem mężów, znających stosunki, utworzenie patryarchatu serbskiego, albo exarchatu w Konstantynopolu, niesłychanieby spotęgowało serbizm na półwyspie Bałkańskim i

---

18

Wódz legionów.

([illegible]ieść dziejowa z lat 1790—1817.)

przez

[illegible]sława Schnür-Pepłowskiego.

(Ciąg dalszy.)

[illegible]lu, nie szczędząc kosztu, otwo[illegible]więtego Honoryusza salony [illegible]ofiarowując je na pomie[illegible]ego klubu polskiego. By[illegible]ch, urządzanych z nad[illegible] i urozmaicanych pro[illegible]artystów, panie Beau[illegible], la Gorce, prym wio[illegible]warzystwie paryskiem [illegible]owych i wpływowych [illegible]h wieczorach znako[illegible]ak Chénier, Freron, la [illegible]a lub Thibaudeau, [illegible]iał zręczny gospo[illegible]mowę, iż schodziła [illegible]stającej w związku [illegible]s Bars, Wielohorski, [illegible]ni z znakomitszych [illegible]poznać zebranych z [illegible]żo wykreślonego z [illegible] Wybicki, któremu [illegible]owierzył zdawanie [illegible]spondencyi polskiej tudzież rosyjskiej, nie omieszkał przy żadnej sposobności zwracać uwagę francuskich mężów stanu na niebezpieczeństwo polityki caratu, świeżo wzmocnionego upadkiem Polski. Walczył żywem słowem i ulotnemi pisemkami, układanemi w języku francuskim na rzecz sprawy naszej a nawet — jak twierdzi w swych wspomnieniach — ułożył wspólnie z Barsem, z Prozorem i z Wielohorskim notę do dyrektoryatu, w której projektował formacyę odrębnego korpusu polskiego z jeńców galicyjskich internowanych w pruskich fortecach. Podobno nawet dyrektoryat przyjął myśl tę wcale przychylnie i zapytywał poufnie autorów projektu, który z jenerałów stanąłby w danym razie na czele legionu. Wymieniano rządowi kolejno Wielohorskiego i Zajączka, jako zdolnych i energicznych dowódców — ale stanowczej odpowiedzi ze strony sfer decydujących doczekać się nie zdołano...

Wobec tego w poufnych naradach patryotów coraz to częściej powtarzać poczęto nazwisko Dąbrowskiego. Zarówno Bars jak Wybicki przedstawiali naszego wodza jako człowieka wyjątkowej energii i żelaznej woli, obdarzonego nadto niezwyczajną zdolnością organizacyjną. De la Roche pisał kilkakrotnie do Dąbrowskiego za pośrednictwem Caillarda, ale listy, przejęte w drodze przez Rosyan, czy też Prusaków, nie dochodziły na miejsce przeznaczenia. Wówczas de la Roche wpadł na śmiały pomysł przedarcia się do Warszawy celem osobistego porozumienia się z Dąbrowskim. Zabrawszy z sobą Eliasza Tremona, syna dawniejszego kuchmistrza Stanisława Augusta, który podczas ostatniego powstania odznaczył się męstwem, udał się de la Roche przebrany za kupca i za obcym paszportem na Lipsk, Drezno i Wrocław do Polski. Aliści nie stanęli jeszcze odważni emisaryusze u kresu swej podróży, gdy gadatliwość wtajemniczonych wychodźców omal że nie zgubiła całej sprawy. Wobec tego de la Roche zatrzymał się w Dreźnie i sam tylko Tremo przybył do Warszawy, zabawiwszy poprzednio przez czas dłuższy u swych krewnych w Poznańskiem. Jako pozór przybycia do dawnej naszych władców stolicy służyło Tremonowi zastępstwo rozmaitych domów handlowych francuskich, które go upoważniły do wywalczenia ich pretensyi u Stanisława Augusta a zagwarantowanych przez dwory rozbiorowe. Załatwianie odnośnych formalności nie przeszkadzało energicznemu młodzieńcowi w znoszeniu się z wojskowymi dawnej służby, jakimi byli jenerałowie Hauman i Gedroyc, tudzież w zbliżeniu się do Dąbrowskiego, który przekonawszy się z wręczonych mu listów o rzeczywistym celu przybycia emisaryusza, nietylko zgodził się na objęcie dowództwa powstać mających legionów, lecz nadto wskazywał Tremonowi wybitniejsze osobistości, z któremi w tej sprawie należało się porozumieć. Schadzki i narady spiskowców odbywały się w mieszkaniu kasztelana Połanieckiego, na tak zwanej „kanonii", w bezpośredniem sąsiedztwie królewskiego zamku i utrzymywane były w jak najściślejszej tajemnicy, dzięki czemu Prusacy, którzy w pierwszych dniach stycznia 1796 roku weszli do Warszawy, by się w niej na dobre rozgościć, nie wpadli bynajmniej na trop robót konspiracyjnych.

Zmiana rządów w kraju wypadła na rękę Dąbrowskiemu, który nawiązał bezzwłocznie stosunki z dawnymi towarzyszami broni i z klubami patryotycznymi, istniejącymi za granicą, oraz w Krakowie i we Lwowie, a w połowie lutego t. r. otrzymał tyle pożądane zezwolenie na wyjazd z Warszawy do Berlina, gdzie prócz wspomnianego dopiero co Caillarda znalazł też gorliwego pomocnika w osobie niejakiego Parandiera, ongi sekretarza Ignacego Potockiego, pełniącego też same obowiązki w poselstwie francuskiem nad Szprea. Stanąwszy z początkiem marca w Berlinie, utrzymywał nasz jenerał bliskie stosunki z osobistościami mile widzianemi u dworu, do których zaliczali się ksiądz biskup Krasicki oraz książę Antoni Radziwiłł, w najbliższej przyszłości powinowaty królewski, a zawezwany w dniu siedmnastym marca na posłuchanie u monarchy, ku niemałemu zdziwieniu dworaków zjawił się na pokojach w mundurze wojsk narodowych. Król chciał go przyjąć na oddzielnej audyencyi, ale na oświadczenie Dąbrowskiego, iż nie ma zamiaru ubiegania się o jakąkolwiek łaskę, ani też przedstawienia szczegółowej propozycyi, zaniechał tego zamiaru.

Rozmowa jenerała z Frydrykiem Wilhelmem trwała przeszło godzinę i przedmiotem jej były wypadki ostatniej kampanii, przy której to sposobności żalił się król na nieszczere postępowanie swych sprzymierzeńców, Rosyan, utrudniających jego działania podczas oblężenia Warszawy. Na pytanie monarchy, jaki duch panuje w Polsce, nie omieszkał zauważyć Dąbrowski, że cały naród stanąłby po stronie Prus, gdyby rząd królewski zamierzył przywrócić Polsce niepodległość i przyczynić się wraz z innemi mocarstwami do przywrócenia politycznego bytu Rzeczypospolitej. Dodał przy tej sposobności jenerał, że Polacy wybraliby nieochybnie króla swym konstytucyjnym władcą, albo też zaofiarowaliby koronę któremu z książąt przez niego wskazanych...

Według innej znów wersyi, zapisanej w pamiętnikach Tomasza hr. Ostrowskiego, — jenerał, zapytany przez króla, jaki teraz duch panuje w Polsce, odpowiedział:

— Duch niepodległości dla ojczyzny!

Frydryk Wilhelm na to zamilkł, ale wręcz zapytał, czyby przyjął od niego komendę korpusu. Na co Dąbrowski królowi odpowiedział:

— Jeżeli ten korpus będzie nosił polskie mundury, to wtenczas godność tę przyjmuję...

Fryderyk Wilhelm nie odrzekł ni słowa na szczere wynurzenia wojownika, który znać nie wiedział o zasadzie, iż na królewskich dworach mowa nie służy bynajmniej do wyjawiania tego, co się myśli i czuje...

Po chwili zakończył król rozmowę kilkoma pochlebnemi słowy dla męstwa i dla waleczności Polaków, którą to grzecznostkę uważał za dostateczną zachętę dla Dąbrowskiego celem skłonienia go do przyjęcia służby w armii pruskiej. Nasyłał więc nieustannie na niego swych zaufanych doradców Möllendorfa i Bischofswerdera, którzy nie szczędzili jenerałowi najświetniejszych propozycyj w razie wstąpienia w szeregi pruskiego wojska.

(C. d. n.)

jak czyszcząca atmosferę burza spadłaby na narodowościową pstrokaciznę w Macedonii.

Postępy, jakie Bułgarzy od założenia swego exarchatu i to kosztem Serbów — którzy z nienawiści do Greków, garnęli się do kościoła bułgarskiego — czynili w Bułgaryi, musiały Serbom nasuwać żądanie, aby Porta uznała ich narodowość odrębną w Turcyi. Co gdy się im nie udało, Serbowie tem pilniej gotowi skorzystać ze sposobności i oderwać się od patryarchatu carogrodzkiego, t. j. od kościoła greckiego.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń d. 12. grudnia.

(Bożyszcza w błocie.)

Ciekawe rzeczy dzieją się w Wiedniu. Nie od wczoraj wiadomo, że stolica naddunajska zakochana jest w teatrze i aktorach i że żadnej innej sztuce nie składa tak niskich hołdów ani nie pali tak wonnych kadzideł jak sztuce Melpomeny. A dzisiaj dwa nazwiska, dotąd święte dla Wiedeńczyków, Girardiego i jego żony p. Odilon nietylko plotka miejska, ale cała prasa brukowa i światowa włóczy po rynsztokach, oblewa je wszelkimi brudami i obrzuca gradem coraz senzacyjniejszych wymysłów. Jest to typowy wypadek.

Komikiem był Girardi i bezsprzecznie utalentowanym komikiem. Coraz większą zdobywał sobie w Wiedniu popularność i doszło do tego, że nietylko wszystkie dzienniki zachwycały się każdym jego ruchem na scenie czy za sceną, nietylko nazwisko jego i fotografie wszyscy na wszystkich rogach mogli i chcieli widzieć, nietylko okrzyczano go za najznakomitszego aktora, ale w dodatku najdrobniejszy szczegół z jego prywatnego życia wyśrubowywano do wysokości wiekopomnych wypadków. Nic dziwnego, że od takich kadzideł można było dostać zawrotu a nawet bolu głowy.

Obdarzony istotnym talentem spróbował parę razy inaczej rolę przedstawić, niż sam jej autor życzył, a zyskawszy poklask, już potem sam dla siebie określał role w sztukach z głęboką pogardą i z góry patrząc na tłum posłusznych farsorobów, którzy go z uniżoną czołobitnością otaczali. Kiedy stanął na estradzie, za kinkietami, ciskał zebranemu tłumowi w oczy największe impertynencye, bo on w gruncie rzeczy nienawidził tego tłumu, który jego najtajniejsze sprawy domowe wywlekał na światło dzienne i tańczył około nich, jak przed cielcem złotym. Jakże miał aktor mieć jakikolwiek szacunek przed słuchaczami i jak ich miał nie nienawidzieć.

Sławy poza Wiedniem nigdzie nie miał, bo wszędzie indziej wymagano-by opracowania roli, a on tego nie umiał. Całą jego sztuką były tylko dwuznaczniki i ton dobroduszności, którego nigdy nie zmieniał. Tłumu teatralnego był zawsze pewien, bo wiedział że wybuchnie szalonymi oklaskami, jeżeli tylko jego bożyszcze wypowie w środku roli jakikolwiek tłusty dwuznacznik i wytrzeszczy przytem oczy, jak gdyby się sam temu, co usta wypowiedziały, dziwił. W najpoważniejszej scenie rzucał na swoję partnerkę spojrzenie tak lubieżne, że wszystkie łysiny w teatrze trzęsły się z rozkoszy. Jednem słowem stał się „specyalnością" i chodzono do teatru jak do tinglu nie słuchać sztuki, lecz patrzeć na Girardiego.

A on sam odczuwał własne poniżenie, ale trucizna bałwochwalczych pochwał już go tak osłabiła, że nie miał siły skierować się na gościniec prawdziwej sztuki. Już przed czterema laty rozeszła się wieść po Wiedniu, że Girardi oszalał, a on wówczas znajomych pytał, czy nie sądzą, żeby można było oszaleć, grając przez lat 20 jego role. I o swoich kolegach pracujących istotnie dla sztuki zawsze z entuzyazmem mówił.

Przy tem wszystkiem kazał sobie olbrzymie gaże za jeden występ płacić, a gdy wreszcie właściwa mu scena, teatr pny Schoenererówny, nie mógł takiemu ciężarowi finansowo sprostać i dał mu dymisyę, gdy Girardi przeniósł się do innego teatru wiedeńskiego, stracił sławę zupełnie. Ujrzano, że cielec był tylko pozłacany z wierzchu, a wewnątrz pusty. To już rozstroiło bożka sceny, rozdarło jego ducha na poły. Do tego przyczyniło się też nadmierne używanie kokainy, a w ostatnim rzędzie pożycie z p. Odilon.

Była to także ulubiona aktorka wiedeńska, a jak sama publicznie się przyznała wcale nie święta. Co się tam poza jej wyznaniem ukrywało, tego lepiej nie mówić, dość, że w ostatnich czasach opanowali ją żydzi. W Wiedniu nic to dziwnego, ale przecież i tam gorszono się i dociekano przyczyny, dlaczego dzielna aktorka wszędzie i zawsze występowała ze sztabem inteligencyi, kwiatu towarzystwa żydowskiego. Teraz dopiero wyszło na jaw, że byli to tylko znani dobrze na giełdzie „słomiani ludzie" a w cieniu ich ukrywał się potentat giełdowy br. Rotszyld.

Kiedy naraz gruchnęła po mieście wieść, że Girardi nie jest już środkowym świata punktem, że rozstrojone ma nerwy od kokainy i zmartwień domowych, że jego żona wspaniały apartament osobny zajmowała na jednej z pryncypalnych ulic, że widywała się tam z br. Rotszyldem, że zebrała za te wizyty majątek, że nakoniec Girardiego swego męża oddała do domu obłąkanych, aby jej łatwiej było wyjechać z baronem za granicę, kiedy nakoniec zwolennicy p. Odilon i żydowska prasa puściły w kurs podejrzenie, iż Girardi sam na każdy prezent barona dla p. Odilon dawał pozwolenie — zrobiło się z tego wszystkiego takie błoto, że obryzgało na długie lata nietylko oba aktorskie bożyszcza Wiednia ale i cały teatr wiedeński i wielką część wiedeńskiej prasy, która babrze w niem od kilku dni z zamiłowaniem godnem lepszej sprawy.

MATKA.

I.

Ciekawa historya, którą nam starożytność, nie zawsze uroczystym nastrojem tchnąca, przekazała, opisuje Achillesa, przebranego za dziewczynę, a Ulysses go poznaje po sposobie, w jaki macha pałaszem, ukrywanym w niewieścich sukniach. Dziewczynę można zawsze, w braku innych dowodów, poznać po jej niezmordowanym i trwałym zapale do lalek. Zaledwie władać potrafi drobnemi rączętami, już powija lalkę. A namiętność tę stosuje z największem zadowoleniem i zamiłowaniem do żywych dzieci.

Dlatego, kiedy kobieta ma własne dzieci, wszystko inne na ziemi zdaje się ją mało zajmować. Powołanie to jest jednym z najpowszechniejszych i najistotniejszych objawów. Może i rodzą się kobiety na filozofów, na autorów, na polityczki, artystki i rzemieślniczki; pokornie przyznam, że nie spotkałem takich kobiet. Korynna musiała być wyjątkiem. Lecz czego pewien jestem, to, że każda z nich rodzi się z miłością do wszelkiego zajęcia materyalnego, intelektualnego i moralnego, jakie wchodzi w zakres macierzyństwa. Nawet wrodzona im chęć podobania się ustąpić musi poświęceniu macierzyńskiemu, ma mniej siły i mniej miejsca zajmuje w ich życiu. Spotykamy dobre i złe żony; nie ma bezwzględnie złych matek; jeżeli się jaka gdzie znajdzie, będzie stworzeniem nienormalnem; niewiadomo, jak taką matkę określić, jak ją zrozumieć można.

Co jest ostatecznie kobieta? Matką, gdy jest dojrzałą; albo na matkę chowająca się. Wstrętnemi są dla mnie nowoczesne teorye, które z kobiety robią lekarza, adwokata, urzędnika, a równie obyczaje nowoczesne, które z niej robią nierządnicę lub zalotnicę. Głównie nie znoszę ich dlatego, że te przeobrażenia maskują lub znoszą macierzyństwo. Ważna mi sprawa, że kobieta będzie miała pacyentów, kiedy malec ma koklusz; że będzie miała klientów, kiedy malec ma profesora, który go krzywdzi, nie oceniając jego pilności w nauce; że napisze dobre prawo prasowe, kiedy do nauki dziecka potrzebny jest alfabet, z którym bawiąc się będzie się uczył czytać. Trzeba np. kobiecie-deputowanemu iść do komisyi przeprowadzić rozprawę, albo do biura, agentowi-kobiecie notować kursa giełdy, a tu pogoda prześliczna, malcowi potrzeba powietrza, mamusia powinnaby go na spacer zaprowadzić. Podobno cesarz z sułtanem rozpocząć mają kroki nieprzyjacielskie, gazety pełne odgłosów wojny, tak, ale dzieciak od rana dostał dwa nowe ząbki, to sprawa bardziej interesująca. Świat kobiety zawiera się w tym małym światku. Nawet jeżeli nie ma własnych dzieci, będzie się z pewnością cieszyła, kiedy u dziecka sąsiadki ząbki zaczną się pokazywać.

Wszystko ma znaczenie pierwszorzędne: i ząbki, i rośnięcie, i waga, i gęstnienie włosków, i apetyt, i pierwsze stawiane kroki. A po staraniach o ciało idą inne, ważniejsze. Matka nietylko jest karmicielką, ale przełożoną szkoły. Zaczyna od sylabizowania na pierwszej książce, słucha pierwszej wyuczonej na pamięć bajki, prowadzi rękę w pierwszem stawianiu wedle wzoru liter. Pierwsza lekcya moralności do niej należy. Nie bada, czy pojęcie o dobrze jest wrodzonem, jaki jest stosunek dobra do używania. Mówi poprostu z frasunkiem: „Moje dziecko, to nie dobrze", albo z tryumfem: „Brawo, synku, masz poczciwe serce!" Czy słyszała kiedy, że żył jakiś Kant, autor traktatu o moralności? Co to wszystko ma znaczyć? Trzeba kochać rodziców, w ogóle kochać bliźniego i dobrze, o ile podobna, mu robić. Za ten zakres nie sięga i jest prawdziwą, wyborną mistrzynią moralności. Wszystkie te zasady, których nikt tu nie dowodzi potrzeby lub znaczenia, same przez się wnikają do głowy i do serca dziecka, przechodzą do całej jego istoty. W godzinę śmierci odezwą się one równie potężnie i żywo, jak w ciągu całej pielgrzymki przez życie.

Wiem, że kobiecie przyjdzie często wziąć się do innego zajęcia, zawiesić opiekę i wychowanie nad dziećmi, jeżeli np. zostanie wdową i będzie musiała wejść do fabryki na zarobek. Jeżelibym mógł świat na mój sposób urządzić, nic innego w nim kobiety nie miałyby do roboty, oprócz obowiązków żon i matek. Stworzyłbym im tę najwyższą sytuacyę, ten wielki los im zgotowałbym. Wszystko zewnątrz tego celu przyczynia się do poniżenia kobiety. Jest ona bezwzględnie na wychowawczynię przeznaczona.

Wychowawczynią głównie dla córek? zapytacie. Nie, dla wszystkich bez różnicy płci dzieci. Rozumie się, że córka zawsze będzie pod czujnym okiem matki, która zawsze jest gotową być powiernicą, kierowniczką lub pocieszycielką. Chłopcy, których matki w świat muszą wyprawić, a raczej, którzy od matek w świat się rzucą, zabierają z sobą jednakże największą cząstkę matczynej istoty. Matka będzie ich sumieniem przez życie. Ma ona ważne zadanie w wykształceniu chłopców i dziewcząt, w wychowaniu wszystko jest dla niej ważnem. Dla tego mędrcy wszystkich czasów mawiali: „Jeżeli chcecie zreformować społeczeństwo, wpływajcie na kobiety".

Zreformowanie społeczeństwa nazywa się obecnie wywrotem porządku socyalnego. Nie moja to reforma, nie chcę ani obalać religii ani rodziny; przeciwnie, pragnę, aby one odżyły w zupełności. Aż serce boli patrzeć, jak kobiety, stojąc po stronie niszczycieli, działają przeciw własnemu interesowi, własnej misyi. Dziś, kiedy tak zagrożone są pojęcia religijne nawet śród ludu, kobiety ostatnią nadzieję ratunku niosą w swem powołaniu, największem i najpiękniejszem z powołań. Chciałbym dopomódz im do tego obowiązku i do tego rezultatu.

Juliusz Simon.

Z izby sądowej.

(Drukowane oszczerstwa.)

Lwów d. 14 grudnia.

Popołudniu pierwszy zabrał głos dr. Dulęba motywując jeszcze raz na zasadzie przeprowadzonej rozprawy oskarżenie p. Breitera przez hr. Hompescha o obrazę czci. Trzymając się ściśle przedmiotu, dr. Dulęba ponownie przypomniał, jak znakomitej opinii w kraju całym i w powiecie niskim hr. Hompesch słusznie zażywa, jak ciężką przeto jest obraza uczyniona tak zasłużonemu człowiekowi w *Monitorze*. A nie chodzi o to, że p. Breiter czynił hr. Hompeschowi zarzuty nieprawdziwe osobistej natury i co do jego działalności publicznej, lecz chodzi o to głównie, że w inkryminowanym artykule dziennika p. Breitera powiedziano, iż hr. Hompesch kwotę 3.000 zł. z funduszów publicznych zużył na własne potrzeby tj. na śniadanka. Zarzut to tak ciężki, iż gdyby nawet nie był uczyniony człowiekowi zasłużonemu, lecz zwyczajnemu a prawemu obywatelowi, byłby w najwyższym stopniu karygodnym. Prosił tedy dr. Dulęba ławy przysięgłych, aby werdyktem skazującym dała wyraz przekonaniu publicznemu, że na cześć ludzi napadać nie wolno, nie narażając się równocześnie na odpowiedzialność sądową.

Następnie przemówił dr. Aschkenazy, obrońca p Breitera. Odpowiadał na zarzuty czynione jego klientowi przez starostę Bilińskiego, przez hr. Hompescha i przez prokuratoryę państwa. W spokojnej i jędrnej okronie swojej dr. Aschkenazy, nie przecząc faktowi, iż *Monitor* istotnie podał może niezupełnie prawdziwe niektóre fakty, nie starał się wcale dowieść, iż istotnie starosta Biliński z Justyną Misiajłową pozostawał w zbyt bliskich jak na żonatego człowieka stosunkach, ani też aby hr. Hompesch rzeczywiście kiedykolwiek dostał z niskiej kasy powiatowej kwotę 3.000 zł. na wydatki publiczne i kwotę tę na własne potrzeby roztrwonił.

Dr. Aschkenazy starał się jedynie dowieść, że klient jego działał w dobrej wierze. Klient jego jako dziennikarz spełnia takie samo, mniej więcej zadanie w społeczeństwie, jak prokurator. I jak prokuratorowi często się trafia, że powołuje przed sąd ludzi niewinnych, tak samo też zdarzać się to musi dziennikarzowi. Dziać się to musi tem więcej w dziennikarstwie, że dziennikarz nie ma tych środków dowiedzenia się prawdy, co prokurator, uzbrojony w powagę władzy państwowej. Dziennikarstwo w społeczeństwie nowoczesnem z taką samą koniecznością istnieć musi, jak i prokuratorya państwa, a tak jednego jak i drugiej celem, zadaniem i obowiązkiem jest wywlekanie złego na widok publiczny.

Prokuratorya wystawia na światło sądów zło, przewidziane w paragrafach kodeksu, dziennikarstwo zaś pod pręgierz opinii publicznej stawia czyny ludzkie, które wprawdzie wedle litery prawa nie są złymi, ale które etyka społeczna potępia. Porównanie to było bardzo piękne i jak każde tak i ono kulało.

Dr. Achkenazy mianowicie wywiódł w konsekwencyi, że jak prokurator nie jest odpowiedzialnym za postawienie niewinnego człowieka przed kratkami trybunału karnego, tak też dziennikarz powinien być wolny od odpowiedzialności, gdy w dobrej wierze napadł na cześć osoby niewinnej. Z taką konsekwencyą społeczeństwo, jak dotychczas, chyba pod żadnym warunkiem zgodzić się nie może — a to, jeżeli nie z żadnych powodów, to przynajmniej z tego utylitarnego, iż jeżeli prokuratorya jest już jednem koniecznem złem, to nie należy pozwalać na istniego drugiego takiego samego zła — drukowanego.

Bardzo zręcznie również przedstawił obrońca sędziom, że w p. Breiterze sądzić mają człowieka, a nie fakt. Chodzi mianowicie o to, czy p. Breiter w dobrej wierze ciskał w oczy p Bilińskiego i hr. Hompeschowi przykre zarzuty. Jeżeli w dobrej wierze, to choćby zarzuty te były nieuzasadnione, winien być uwolniony. Z tem rozumowaniem także trudno, aby się społeczeństwo cywilizowane zgodzić mogło.

Artykuł o p Bilińskim przedstawił Dr. Ashkenazy w ten sposób, że autor jego, wiedząc o nieformalnościach i pośpiechu podczas ślubu Fedora Kapitana z Justyną Misiajłową, i szukając przyczyn tegoż pośpiechu postąpił wedle zasady francuskiej *cherches la femme*, podczas gdy się był powinien trzymać *cherchez les élections*.

Hr. Hompeschowi wytknął obrońca, że zaniedbał przysłać redakcyi *Monitora* sprostowania, które byłoby z pewnością umieszczone i sprawę w zarodku byłoby ubiło.

Słusznie w swojej replice na obronę dr. Aschkenazego dr. Dulęba zauważył, iż dziwną byłaby logika, któraby obrażonego obowiązywała do tłómaczenia się przed napadającym na jego honor, a nie dawała mu prawa wprost udać się do sądu i zażądać, aby sąd obronił go przed niesprawiedliwą napaścią.

Bardzo piękny był wykład dr. Aschkenasego o austryackich ustawach majowych małżeńskich i o ślubach cywilnych. Wyłożył on, że sam tytuł małżeństw cywilnych wskazuje na to, iż one w ostatecznej potrzebie, w nieuniknionej konieczności powinny być dawane i władza, do nich uprawniona powinna wszelkimi siłami postarać się wprzódy o umożliwienie ślubu kościelnego. Natomiast mniej szczęśliwą była wycieczka tego adwokata na pole metafizyki. Chcąc udowodnić, iż każda prawda jest subjektywną, dr. Aschkenazy posunął się aż do twierdzenia, iż „byli na świecie apostołowie i głosili — jak im się zdawało — prawdę, a jednak prawdy jeszcze nie ma." Katolicy wierzą, że prawdę już znaleźli, to też taki frazes dr. Aschkenasego wszystkich w sali obecnych niemile uderzył a nawet oburzył.

Po replice dr. Dulęby i streszczeniu rozprawy przez przewodniczącego udali się sędziowie przysięgli na narady, którz trwały dwie godziny. W całej sali nabitej publicznością, na ławach dziennikarskich i na ławach adwokackich, gdzie coraz nowi się pojawiali rzecznicy lwowscy, panował przez ten czas głęboki niepokój. Wzrastał on z każdą chwilą, zwłaszcza gdy sędziowie przysięgli po długich naradach poprosili o wyjaśnienia prawne przewodniczącego i potem znowu przez bardzo długi czas nie dawali znaku życia.

Nareszcie nadeszła stanowcza chwila. Wszystkich obecnych oczy zawisły na ustach p. Hejdy przełożonego ławy, który ogłaszał werdykt Uznano p. Breitera winnym oszczerstwa przeciw p. F. Bilińskiemu i przyczynienia się do obrazy czci hr. Hompescha. W pierwszej sprawie 8 głosów brzmiało tak, 4 nie, w drugiej 9 tak, 3 nie. Inne zarzuty zdjęto z oskarżonego.

Trybunał udał się teraz na naradę, a podczas tego zaszedł w osieroconej sali komiczny wypadek. Młody jakiś człowiek, czarny, jak mieszkaniec ciemności, krokiem duchów zbliżył się ukradkiem do stolika; przed którym przed chwilą siedział p. Breiter i złożył wianuszek z bobkowych listków ze szkarłatnymi wstęgami. Dokonawszy tego, zniknął jak cień w tłumie, z którego odezwały się trzy nieśmiałe oklaski.

Naturalnie natychmiast ten corpus affectionis inventus usunięto w dyskretny cień ławek.

Po długiej naradzie trybunał skazał p. Breitera za występek z § 487 ust. kar. i przekroczenie z art. 3 ust. z 15. października 1868 na miesiąc aresztu i koszty sądowe. Ks. Terleckiego i br. Skarbka skazano na poniesienie stosunkowych kosztów za ich sprawy, od których odstąpili.

Od wyroku tego zgłosił dr. Aschkenazy zażalenie nieważności, mimo czego zwolennicy *Monitora* z rzadką miną opuścili gmach sądowy o godz. 11. w nocy.

* *

Ks. Terleckiego, który w powyższym procesie oskarżał pośrednio pnę Onufrykównę, telegraficznie władze szkolne zasuspendowały z urzędu inspektora szkolnego, a prokuratorya państwa wdrożyła przeciw niemu śledztwo karne.

KRONIKA.

Lwów d. 15. grudnia.

Dalszy ciąg powieści „Lena" znajduje się na czwartej stronicy.

Zapiski osobiste. Dnia 21. bm. przybędzie do Galicyi minister kolei żelaznych Guttenberg na otwarcie kolei żelaznej z Halicza do Tarnopola wiodącej.

Ze sfer urzędowych. Dowiadujemy się, że radca namiestnictwa p. Lanikiewicz mianowany będzie niebawem radcą dworu i starostą w Przemyślu.

Szkoła kadecka we Lwowie. Ministerstwo wojny powzięło, jak nam donoszą z Wiednia, przychylną decyzyę w sprawie utworzenia szkoły kadetów we Lwowie. Budowa szkoły rozpocznie się z wiosną. Z tego samego źródła dowiadujemy się, że w roku przyszłym rozpocznie się także budowa gmachu na pomieszczenie komendy korpuśnej w Przemyślu.

Ustawa budowlnicza dla miasta Lwowa została w ten sposób zmienioną, że odtąd będzie wolno budować do końca listopada, z dniem 1 grudnia zaś muszą ustać wszelkie roboty budowlane nawet gdyby było dość ciepło. W razie nastania mrozów ponad 2°C. winny nawet przed tym terminem ustać wszelkie budowy. Ferye budowlane trwać będą od 1 grudnia do 1 marca, względnie do ustania mrozów.

Policya i akademicy. W sobotę odbył się wiec akademicki, poczem uczestnicy tegoż udali się na wspólną kolacyę a następnie przechadzali się po ulicy w tzw. „gesiora". Z powodu, że policyanci nasi najczęściej tam interweniują, gdzie nie potrzeba — a zazwyczaj ich nie ma, gdy istotnie ich pomoc jest niezbędną, więc i tym razem policya interweniowała, a interweniowała nawet zbyt energicznie i czynnie, używając przeciw nie chcącym posłuchać jej rozkazu rozejścia się pałasza i pięści. Kilku z „burzycieli spokoju" — akademików przystawiono na policyę, gdzie ich nazwiska zanotowano. Sądzimy atoli, że na tem się nie skończy — i przez sąd powinna być rozpatrzona tak wina owych młodych ludzi, jak jeszcze bardziej onych stróżów bezpieczeństwa publicznego, którzy swoją zaenergiczną interwencyą właściwy niepokój wywołali. W aferę tę wmieszał się był także feldwebel 30 p. p.; komenda niewątpliwie nie omieszka pouczyć go, iż tego rodzaju kwestye do służby wojskowej zupełnie nie należą.

Samobójstwo usiłował wczoraj spełnić na Wałach hetmańskich przed godz. 8. wieczorem żołnierz 30. pp. W. S. Wypił sporą dozę fosforu roztworzonego w kwasie solnym i musiano go odwieść do szpitala wojskowego.

Nawet dorożkę z koniem można we Lwowie ukraść. Dokonał tego wczoraj na placu Bernardyńskim Mikołaj J. ale gdy skradzione „rzeczy" sprzedawał, już go schwytano i oddano w ręce policyi.

Wybory do Rady powiatowej lwowskiej rozpoczęły się wczoraj głosowaniem w kuryi włościańskiej. Udział wyborców był bardzo ożywiony, agitacya niebywała dotychczas. Prezes *Selańskoj Rady* i główny agitator opozycyjny ks. Hirniak z Winnik upadł. Natomiast wybrany został ponownie ks. infułat Zabłocki, wiceprezes dotychczasowej Rady powiatowej, pp. Sklepiński Michał z Zamarstynowa, Remański z Winnik, gr. kat. proboszcz Horbacz, ks. Łepki i ośmiu włościan. Agitacya prowadzoną była bardzo poważnie, w tonie zasadniczym zarówno ze strony polskich, jakoteż i ruskich obozów. Z rezultatu wyborów mogą być wszystkie stronnictwa dość zadowolone, gdyż każde ma swoich zastępców pomiędzy wybranymi.

Przy wyborach do Rad powiatowych z mniejszych posiadłości w powiatach sanockim i wielickim zwyciężyły listy stronnictwa ludowego.

Wybór uzupełniający trzech członków Rady powiatowej w Zbarażu z grupy większych posiadłości rozpisało namiestnictwo na dzień 20. stycznia.

Nowe urzędy pocztowe otwarte zostaną z dniem 16. bm. w Bereżnicy królewskiej pow. Żydaczów i w Balicach pow. Kraków.

Dobra tłumackie, objęto w zarząd sekwestracyjny przez Bank hipoteczny. Pretensya Banku wynosi przeszło dwa miliony zł. Cukrownia tłumacka będzie przez nowy zarząd dalej prowadzoną, pod kierownictwem b. dyrektora cukrowni w Królestwie, p. Misiągiewicza.

Z Podhajeckiego piszą nam: Ofiarą namiętności łowieckiej stał się ks. F. paroch rit. gr. w Szwejkowie powiatu podhajeckiego. W zeszłym miesiącu wyszedł na łowy, a błąkając się po cudzych obszarach łowieckich, znalazł się pod lasem dworskim w Szwejkowie. Trzeba nieszczęścia, że z zapadłym zmierzchem wyszło na kraj lasu stado sarn; ksiądz nie wiele myśląc złożył się i strzelił w stado, nie zadając sobie pytania, czy zabije kozła czy sarnę. Lecz tu go dopadła nemezis; zanim się bowiem opatrzył, co zabił, już stał przy nim strażnik łowiecki i domagał się natarczywie oddania strzelby. Nie było rady, jak nie pyszny musiał

Róża i Lejbuś.

Pewnego dnia wpadło Lejbusiowi na myśl, że powinien się ożenić. Poszedł natychmiast do Sugarmana, szatchena.

— Właśnie teraz mam coś dla ciebie — powiedział wielki pośrednik małżeński.

— Czy ładna? — zapytał Lejbuś.

— Ojciec jej ma skład szewskich towarów — odparł Sugarman z entuzyazmen.

— Powinnaby więc mieć posag — zauważył Lejbuś z pospiechem.

— Rozumie się — taki gładki młodzieniec jak ty!

— Jakże sądzisz, ile tego będzie?

— No, nie jestto wielki sklep, ale ty sam mógłbyś kupować tam sobie trzewiki po cenie kosztów, a twoja żona, być może, nawet za cenę samej skóry.

— Gdzieżbym ją mógł zobaczyć?

— Już ja to tak urządzę, że w najbliższy sabat popołudniu będziesz mógł pójść do nich.

— Ale nie policzysz nic więcej za to, niż jeden funt?

— Ani grosza więcej! Taka skromna dziewczyny! Jestem przekonany, że będziecie szczęśliwi. Ona tak dobrze wychowana. Tylko, rozumie się, dostanę pięć procent od posagu.

— Hm, no, niech będzie. — Może nie dostanie żadnego posagu — tak sobie myślał, mając w duszy błogą nadzieję, że może przecież szatchenowi figę pokaże.

W sobotę odwiedził Lejbuś pannę, a w niedzielę poszedł do Sugarmana, szatchena.

— Twoja dziewczyna zezuje — zawołał z oburzeniem.

— To jest rzecz doskonała, powiedział Sugarman. Kobieta z zezem nie może nigdy mężowi spojrzeć prosto w twarz i wzrokiem go do ziemi przybić. Któżby się składał przed zezującą żoną?

— Żebym jeszcze darował — mówił dalej Lejbuś z wahaniem w głosie — ale ona jeszcze i jąka się.

— A czyż może być coś lepszego na wypadek, gdy przyjdzie do sprzeczki? Ponieważ jej ciężko mówić, więc będzie cichszą, niż większa część kobiet. Radzę ci coprędzej ją wziąć dla siebie, dopóki jeszcze można.

— Ale kiedy ona utyka na lewą nogę — zawołał Lejbuś z rozpaczą.

— O Boże niebieski, czyżby słowa twoje miały znaczyć, że nie widzisz korzyści z posiadania żony, która nie wszędzie za mężem swoim pójść potrafi?

Lejbuś stracił cierpliwość.

— Dziewczyna ta przecież jest garbata — krzyknął z wściekłością.

— Mój kochany Lejbusiu — zauważył pośrednik małżeński ze spokojem, ruszając na znak zdziwienia ramionami i rozpościerając na znak niemocy ręce — mój drogi Lejbusiu, doskonałości przecież nie możesz się nigdzie spodziewać.

Mimo tego wszystkiego Lejbuś nie chciał dać przystępu do siebie roztropnym uwagom Sugarmana. Oskarżał go, że go na stratę czasu naraża, i na dudka chce wystrychnąć.

— Ja ciebie chcę na dudka wystrychnąć, gdy cię swatam z córką właściciela magazynu szewskich towarów? — powtórzył szatchen z oburzeniem. Sam się na dudka wystrychniesz, jeżeli się będziesz opierał. Posag jej wystarczy z pewnością na to, abyś mógł sobie urządzić warstat krawiecki. Teraz musisz się biedzić i męczyć jako przykrawacz za 30 szylingów na tydzień. A to przecież wielka krzywda dla ciebie. Gdybyś tylko miał kilka maszyn, mógłbyś sam sobie trzymać przykrawaczów. Można ich teraz mieć za byle jakie pieniądze.

Zastanowiło to Lejbusia. Odszedł, ale rokowań stanowczo nie zerwał. Cały tydzień zatruły mu wątpliwości. Robota jego była niepewna, kredowym znakom na suknie brakowało zwykłej precyzyi, a co gorsza nie wszędzie nawet krajał sukno dokładnie podług linij. Roztargnienie jego było tak widoczne, że ładna Róża Grynówna, najstarsza córka majstra Lejbusiowego, która w tej samej co on izbie na maszynie szyła, prawdziwie kobiecą intuicyą odgadła, iż musi być zakochany.

— Co się z tobą dzieje? — zapytała żartobliwym tonem w chwili, gdy wśród turkotu maszyn, których niewolnicy roboty jeszcze nie wykoń czyli, spożywała na śniadanie chleb z serem i imbirowe piwo.

— Proponują mi partyę — odparł mrukliwie.

— Partyę — zawołała Róża. — Tobie! Pracowała od kilku lat koło niego, to też z poufałości zwolna wynikła druga osoba liczby pojedyńczej w przemowach do niego. Lejbuś kiwnął głową i włożył w usta kawałek sera holenderskiego.

— Z kim? — zapytała Róża.

Zawstydził się i mruknął odpowiedź do szklanki z piwem, którą przyłożył do ust spragnionych.

— Z Leją Wołkowiczówną.

— Leja Wołkowiczówna? — skrzyknęła Róża — Leja, córka kupca towaru szewskiego?

Lejbuś spuścił głowę; sam nie wiedział dlaczego. Nie miał odwagi spojrzeć jej w twarz. Spuszczenie głowy miało oznaczać: tak. Nastąpiła długa pauza.

— I dla czegoż nie chcesz jej wziąć? — zapytała Róża. Było to więcej niż pytanie. Brzmiała w tem pogarda, a może nawet rozdrażnienie.

Lejbuś nie odpowiadał. Znowu zapanowało przykre milczenie i to dosyć długie. Nakoniec zaczęła Róża mówić:

— Czy może dla tego, że mnie wolisz? — zapytała.

Lejbusiowi się zdało, że zobaczył jakąś kulę ognistą w powietrzu. Rozprysła się — on czuł, jak prąd elektryczny prosto przez jego serce przepłynął. Wstrząśnienie odrzuciło mu odrazu głowę w tył tak, że oczy jego padły na twarz, której piękność i powab po raz pierwszy mu się bez osłon przedstawiły. Oblicze jego dawnej znajomej znikało, przed nim uśmiechała się wdzięczna kokieteryjna twarz, na której czytał nieprzeczuwane nawet obietnice.

— No, tak — odparł bez zbytniej zwłoki.

— No, dobrze — odpowiedziała również szybko.

W rozkoszy tej chwili wzajemnego wyznania zapomniał Lejbuś zapytać siebie samego, dlaczego nigdy przedtem o Róży nie pomyślał. Później przypomniał sobie, że ona społecznie zawsze wyżej stała od niego.

Sytuacya wydała mu się zanadto bajeczną, aby o niej zaraz [illegible]
nym opowiadać. Lejbuś [illegible]
szklankę z piwem, a Róża [illegible]
nieco, jakby na przysię[illegible]
Rozumiało to tylko ich [illegible]
Lejbuś resztę wypił, uczu[illegible]
zupełnie w głowie zakr[illegible]
chleba z serem były [illegible]
nektaru. Nie śmieli s[illegible]
głość całej rzeczy [illegible]
dliwymi, a zetk[illegible]
wneby było st[illegible]
obwieszczenie [illegible]
uczucie taj[illegible]
pominąwszy [illegible]
nie miało [illegible]
majstrowi [illegible]
staremu i n[illegible]
Lejbusio[illegible]
go popołudn[illegible]
jak wielk[illegible]
cząc te kr[illegible]
Zanim [illegible]
powiedzia[illegible]

biedny paroch finito oddać i powracać do domu z przykrymi myślami, że się dopuścił przekroczeń, za które i przed sądem i przed starostwem będzie musiał odpowiadać.

Z Nowego Sącza piszą nam: Przed kilku tygodniami na tutejszym dworcu przed odejściem pociągu żandarm zatrzymać miał ks. Stojałowskiego z polecenia sądu wadowickiego. Tłum socyalistów otaczał swego kapelana, więc jeden z żandarmów [illegible] drużby tym czasem zręcznie bardzo wyprowadzili ks. Stojałowskiego na drugą stronę pociągu i ułatwili mu ucieczkę do Węgier; gdzie dotąd się ukrywa. Okrutnie radzi z swego figla, przechwalali się nim na kolonii i w mieście. Wnet jednak nastąpiły śledztwa najprzód w dyrekcyi kolei a potem sądowe, które prowadzi p. Ligęza. Dnia 11 bm. na rozkaz sędziego śledczego aresztowano trzech socyalistów, czwarty zdołał umknąć zapewne nie na długo, bo pójdą za nim listy gończe. Zdaje się, że się na tych aresztowaniach nie skończy, bo śledztwo trwa dalej. Żony i dzieci aresztowanych mogą się teraz udać o pomoc i radę do Daszyńskiego, który pompatycznie na zebraniu socyalistów w Krakowie na przekór „panom" biskupom zawarł sojusz z Stojałowskim. Dla sądeckich socyalistów, którzy rozhukaniem i zuchwalstwem swem stali się wprost wstrętnymi, śledztwa te i areszty będą pożądanem wędzidłem. [illegible] procesie sądowym nastąpi dyscyplinarne dochodzenie, które kilku pozbawi może chleba.

Wobec tej swywoli socyalistów coraz więcej zyskuje „Przyjaźń" na szacunku i życzliwości ogółu miasta, rozwija się pięknie, ma własny lokal w rynku, urządza wieczorki muzykalne i przedstawienia sceniczne, na które oprócz jej członków przychodzi wiele inteligencyi i obywateli miasta.

Pojedynek skutkiem bezczelności pruskiej. Działo się to przed kilku dniami. We Wrocławiu wsiadła do wagonu II. kl. przed samem wyjściem pociągu młoda i przystojna panienka X., którą na stacyę odprowadzili rodzice, czy też jej krewni. W wagonie tym (dla niepalących) siedział już młody człowiek literat z Krakowa p. Antoni R., i czytał gazety. W drodze na jednej ze stacyj wsiadło do tegoż przedziału dwóch nowych pasażerów Niemców w dosyć wesołem usposobieniu i zająwszy miejsca, poczęli zaczepiać i natrętnie zaczynać rozmowę w niemieckim języku z panienką X., która oświadczyła grzecznie, że chętnie na pytania odpowiadać będzie, ale jest Polką i tylko swoim językiem dobrze włada. Urażeni tem Niemcy zaczęli niezadowolenie swoje okazywać docinkami i dwuznacznikami, w ubliżający sposób, wyrażając się o Polakach i polskiej mowie. W obronie własnych uczuć, jako Polak, stanął p. R., który przeprowadził panią X., na jej wyraźną prośbę, do innego przedziału, sam powrócił na swoje miejsce. Tu jednak spotkał się z ostremi wymówkami i obraźliwemi słowy ze strony Niemców, którym równie ostra odprawa dostała się od p. R. Byłoby się może na tem skończyło, gdyby nie to, że jeden z niezadowolonych Niemców, niejaki p. Müller, z Lipska, kładąc się na kanapę, kopnął pogardliwie nogą stos polskich gazet, czytanych przez p. R. Ten pochwycił w gniewie rzucone gazety i wypoliczkował niemi bezczelnego Prusaka, który początkowo chciał oddać [illegible], wyzwał na pojedynek pana R. Pojedynek odbył się w lasku nad granicą rosyjską. Przy pierwszej wymianie kul obaj przeciwnicy chybili; za drugim razem p. R. odniósł ranę w lewe ramię, a p. Müller w prawy łok[illegible].

Papakosta przed sądem. W poniedziałek przed wiedeńskim sądem karnym rozpoczął się sensacyjny proces. Na ławie oskarżonych zasiedli: Dymitr Papakosta, Perykles Affendakis, Mateusz Stalio i Pribojac-Petrović-Ristic. Słynna ta czwórka zapełniła przestrachem całą Europę i nie było zamku i kasy żelaznej, któreby się oparły ich wytrychom. Że do bandy należało więcej rzezimieszków, nie ulega to żadnej wątpliwości. Sprawiedliwość musi się jednak zadowolić tylko temi osobistościami, bo widocznie istnieje między nimi wielka solidarność i wyraz „zdrada" w ich słowniku nie istnieje. Popełniali oni wielkie kradzieże w Wiedniu, Peszcie, Tryeście, Grazu, Lipsku, Dreznie itd. Papakosta i Affendakis dwa razy uciekli z więzienia peszteńskiego, to też noszą teraz kajdany na rękach, nogach i obydwaj są skuci jednym łańcuchem. Przytem dzień i noc pilnuje ich warta z karabinami nabitymi. Pierwszy jest elegantem w całem znaczeniu tego słowa. On podawał zawsze plan, według którego miały być wykonywane kradzieże. Przeszłość jego zupełnie nieznana i nikt nie wie, skąd pochodzi i kto jego rodzina. Affendakis przedstawia skończony typ Greka. Jakiś czas był przedsiębiorcą w Egipcie i nawet dobrze zarabiał. Wolał jednak chleb łatwiejszy i ten go zaprowadził do kryminału. Stalio pochodzi z wyspy Rhodos. Prawdziwy olbrzym i jako [illegible] Pribojac Ristic urodził się w Bo[illegible] Historya jego życia to cały szereg mor[illegible] [illegible]

nie otrzymaliby w takim razie zwykłego wsparcia, dla bogatych żydów jest to obojętne. Aby dokuczyć nowej Radzie miejskiej, która nie jest żydowską, gotowi są na wszystko i nawet nie widzą, jak takiemi płaskiemi konceptami się ośmieszają.

Z uniwersytetu w Petersburgu. W uniwersytetach rosyjskich, przy katedrze filologii słowiańskiej, wykładanym był dotąd pobieżnie kurs literatury polskiej. Obecnie, pragnąc dać temu przedmiotowi większe znaczenie, rada uniwersytetu petersburskiego powierzyła wykład literatury polskiej p. Ptaszyckiemu, znanemu z licznych i różnorodnych prac w zakresie historyi i literatury polskiej. Przed kilku dniami p. Ptaszycki w obecności rektora uniwersytetu, profesorów wydziału historyczno-filologicznego oraz licznych słuchaczów wygłosił prelekcyę wstępną p. t. „Ogólny charakter ruchu umysłowego w Polsce w XV. wieku".

Sztuki piękne.

Z teatru. „Wilk i owce" krotochwila Jordana, wczoraj po raz pierwszy na lwowskiej scenie przedstawiona, w Warszawie cieszyła się wielkiem powodzeniem dlatego, że jest echem skandalu „drugorzędnych finansów", jaki się tam w zeszłym roku zdarzył. Pojawił się pewien żyd i podając się za Hiszpana, założył wielki bank „Esperanza", dla umożliwienia małym kapitałom „operacyj finansowych". Asekurował, sprzedawał losy na raty i t. p., a szeroko koło znosiło mu swoje drobne oszczędności. Nie pogardzał nawet rublem, które kucharka zebrała na „koszykowem", a potem zręczny żydek, wilk, oskubawszy małych kapitalistów, owieczki, umknął gdzie pieprz rośnie. Zostawił zaś tylko naukę, by nie dowierzać szumnym operacyom żydowskim i nie łakomić się na wielkie zyski.

Na tem tle osnuł Jordan swoją krotochwilę, która pomimo wielu niedomagań, jest jednak dobrą satyrą. Nam we Lwowie wydaje się może nieco nudną i przydługą, gdyż wiele „kawałów" warszawskich, które w niej dowcip zastępują dla nas pozostaje niezrozumiałych. Ale nauką może i dla nas być dobrą. Nie mamy wprawdzie w tej chwili żadnego takiego banku „Esperanza" we Lwowie, ale kręci się po naszym bruku mnóstwo ciemnych indywiduów, robiących „operacye finansowe" w najszerszych kołach. Służąca, stróż, czeladnik, i t. d. to są ich ofiary, od których wyłudzają guldeny na losy na raty, jakieś loterye etc. Jest takich oszustów, przeważnie żydów, we Lwowie więcej, aniżeli ktoś niewtajemniczony by przypuszczał i dziwne, jak „owieczki" łatwo idą na ich lep i jak trudno — wykazawszy im nawet cyframi, że owe losy, za które zapłacić mają 30 zł. są warte tylko 10 zł. — przekonać ich, że zostali oszukani.

A oprócz tych agentów „losów na raty", którzy stanowią niejako arystokracyę wśród tego rodzaju oszustów, jest cała plejada innych „wilków" wyzyskujących głupotę najszerszych mas i wszystkim im wcale dobrze się wiedzie.

„Wilk i owce" nieszczególnie wypadły na lwowskiej scenie, do czego przyczynił się także specyficzny warszawski koloryt tej sztuki. Całość wlekła się trochę ciężko. chociaż niektóre figury miały bardzo dobrych przedstawicieli w pp. Ruszkowskim, Feldmanie, Walewskim, Swaryczewskim. Dobrze także wypadły role dwóch córek Kokoszyńskiego, w których występowały pny Jankowska i Gromnicka, a ta ostatnia zwłaszcza potrafiła swą rolę uczynić bardzo sympatyczną.

Repertoar teatralny.
We środę „Szkoła kadetów".
We czwartek „Szkoła kadetów.
W piątek „Wilki i owce".

Batowski.

Jest malarzem tj. człowiekiem o dwu dziwnych właściwościach. Już w kołysce miał kolorowe okulary przed oczyma i widział poprzez nie świat w samych kolorach, a skoro tylko nauczył się wykonywać świadome ruchy ręką, wnet chwycił nią ołówek i pędzel i dotąd nimi się bawi. Nie wypuścił ich z dłoni w szkole, w której odbierał wykształcenie ogólne choć nie ogólnikowe, a z zapałem też manewrował nimi jak mieczami w akademii monachijskiej, Wiedniu i Paryżu. Zabijał nimi wszystko rzeczywiste, na co tylko jego spojrzenie padło, a zabijał po to, aby tymi samymi narzędziami powołać zabite z martwych do piękniejszego artystycznego życia na płótnie. Odznaczony tu i ówdzie wrócił do miejsc rodzinnych i osiadł we Lwowie, aby tworzyć polską sztukę.

Jest młody tak, że nie można o nim jeszcze stanowczo powiedzieć, że powinien mieć żonę, średniej postawy, szczupły tą szczupłością, która na pierwszy rzut oka charakteryzuje człowieka jako współczesnego symbolizmowi i kolejom podolskim i rozumie się nerwowy. Elegancyi nauczył się od Francuzów, niebo rodzinne dało mu zrozumienie jarów podolskich, stepów ukraińskich, całych aż do Krymu, do którego czynił wycieczki i naszej przeszłości dziejowej, a Niemcy wyrobili w nim ścisłość, prawie aż dziwną w człowieku o bujnej wyobraźni i artystycznych aspiracyach. Czasem gdy drwal źle obliczy cios siekiery, uderzy w pień drzewa i ostrzem zabierze zbyt głęboko rdzeń jego, wtedy uczyni tylko zacios, którego ani odłamać nie można, bo za gruby, ani odciąć. Taki też zacios jest w duszy tego malarza. *Esprit cultivé* umysł wykształcony wysoko i żywy pozwala mu o wszystkiem mieć własne i niebanalne zdanie, biegać od rzeczy do rzeczy bez nudnych dociekań ich niezgłębionej istoty — ale znowu gdy się chwyci czego mocno, trwa w tem z uporem polskim. Niech Bóg broni zapuścić się z nim w dyskusyę. Z bezlitościwą, głuchą na jęki przeciwnika nie miecką ścisłością będzie go bez wytchnienia przypierał do ściany i z całą rafineryą człowieka cywilizowanego coraz wymyślniejszymi przygwoździał argumentami. Byłby w stanie niejednego nawet dziennikarza zmusić do złożenia broni — no, a to dużo mówi.

Stąd pochodzi, że pokochawszy barwny świat przeszłości, nie poprzestał na samem tylko powierzchownem jemu przypatrywaniu się, lecz zeszedł do najdrobniejszych szczegółów, zbadał je gruntownie i dziś gdyby się jakiemu nieboszczykowi towarzyszowi chorągwi pancernej podobało wstać z grobu i zażądać od Batowskiego ekwipunku na wyprawę tatarską, mógłby mu bezpiecznie powierzyć komis.

Dostałby wszystko, coby mu potrzeba było, od pawiego piórka na misiurce aż do ostróg u butów. Mógłby się zresztą zaopatrzyć w cały rynsztunek na miejscu, w pracowni malarza. Zdjąłby ze ściany miecz, z kołka hełm, z gwoździa ryngraf, mógłby się przyjrzeć strzelbie, którą jego wnuk raził wrogów, odczytałby pod powałą dobrze sobie znane sentencye łacińskie, oglądałby z podziwem ornamenty wschodnie ścian i galeryi, makaty, kilimy i dywany, przyjrzał sprzętom stylowym z rozmaitych epok, stosom szkiców malarskich, kopcom fotografij, podziwiałby dekoracye plastycznym i Atlasa, stół dźwigającego, przyznałby nakoniec, oglądnąwszy studya akademickie gospodarza, porozwieszane dokoła, że Niemcy słusznie mu medale dawali. Z pewnością zaś zdumionyby stanął przed obrazem, na którymby ujrzał własny swój portret.

Właśnie malarz zamierza go oddać na wystawę*). Jestto duże płótno, wielkie jak okno w nowej kamienicy, tylko że poziome.

Takiej samej wielkości był kniaź Jur, wystawiony dawniej już również we Lwowie poraz pierwszy. Na obecnym obrazie widać pejzaż podolski, oblany blaskiem słońca. Gorąco takie, że zdaje się atmosfera przesycona jest sprażonym piaskiem. Na prawo lasek, na lewo zielone wzgórze, w pośrodku łan zboża. Wre tu walka. Z lasu wypadają w pojedynkę pancerni na azard z pohańcami, którzy pieszą ławą poprzez łan zboża przedzierają się ku lasowi. Na pierwszym planie dwa konie szarpane ręką jeźdźców i dwaj ludzie, siedzący na rumakach a kończący właśnie pojedynczą walkę. Husarz w lekkiej zbroi powalił dopiero co konia wraz z tatarzynem a teraz ostatnie tchnienie wydziera jakiemuś znacznemu adze. Taka jest treść obrazu.

Akcja jego tłómaczy się sama od pierwszego rzutu oka, bo przeprowadzenie jej jasne i zwięzłe. W ten szkielet wlał autor życie drgające silnem tętnem. Ginący aga przechylił się w tył, wypuścił z rąk krzywą szablę i słabnącą ręką ściągnął swego siwosza. Husarz z wprawą doświadczonego wojownika zadaje cios wrogowi, a obie te postaci tak są żywo przedstawione, tyle w nich i w ich koniach prawdziwego ruchu, że formalnie z ram obrazu występują. Charakterystyka postaci rycerza jest wyborna. Dowieść tego na piśmie nie można, ale to musi być, to jest, to się czuje, widzi, że to chłop tęgi, zamaszysty, nie raz i nie dwa chodził na Tatary i nie pierwszyzna mu ścinać łby pogańskie. I tak samo z postaci wybiegających z lasu towarzyszy i drącej się przez zboże hałastry wrogiej — każda jest inną i każda typową od czapek i hełmów do skoku nóg końskich. Ten koń zabity na pierwszym planie wyraźnie drga jeszcze, chciałoby się go dobić, aby nie cierpiał dłużej i nie sprawiał przykrego widoku przedzgonnymi kurczami. Słowem bój śmiertelny tętni w każdej linii rysunku.

A co do kolorów, to w nich celuje Batowski nie na samym tym tylko obrazie. Jest on kolorystą nie dlatego, aby nie był wybornym rysownikiem, jeno że ambicyą jego jest kolor. Umie barwne plany, chaotycznie na pozór pomieszane z sobą tak dobrać, tak z sobą zespolić, że w odległości kilku kroków od obrazu przedstawiają się jako harmonijna, kolorystycznie piękna całość. Nie ma tam żadnej predylekcyi do jakiegoś tła jednostajnego, do jakichś dziwactw. Każda rzecz przedstawia się w własnej barwie, nie odrzynając się umyślnie od reszty, ale też i nie ginąc w powodzi innych. Nie ma jaskrawości, ani szarzyzny, jest tylko harmonia w różnorodności.

Batowski choć się wypiera tego, jest przecież w pierwszym rzędzie kolorystą. Był nim w obrazach, do których czerpał natchnienia w Sienkiewiczowskim „Potopie", był nim w wielkim *Jurze*, w akwarelach, portretach i szkicach, w *Umizgach*, oddanych na wystawę i został nim w „Jakóbie Lubiczu Niezabitowskim pogrążającym tatarskiego agę", które lada dzień wyśle na wystawę. Zresztą stwierdzili to już najrozmaitsi krytycy, do których miał Batowski szczęście. Nie zostawiali go w spokoju. Chwalili bardzo, albo bardzo ganili, a ci ostatni powoli lub nagle przekonywali się, że nie mieli racyi. Chociażby zresztą i nie cofnęli zdania, to jednak niezbytby wiele złego wyrządzili malarzowi. Pozostałoby mu zawsze przekonanie, że był kimś i to znacznym, talentem nie byle jakim, kiedy potrafił zrobić sobie potężnych wrogów.

Któżby się kułakiem zamierzał na muchę? *St.*

*) Znajduje się już na wystawie; przyp. redakcyi.

Rada państwa.

(Telegr. „Gaz. Nar.")

Wiedeń d. 15 grudnia.

W parlamencie panuje już usposobienie feryalne. Posłowie chodzą za sprawunkami na „Gwiazdkę", skutkiem czego na wczorajszem posiedzeniu były pustki.

P. Funke prowadził dyalogi z młodoczeskimi posłami, a Kronawetter wesoło się bawił z referentem Kathreinem.

Przebieg posiedzenia był następujący:

Na porządku dziennym była dalsza dyskusya budżetowa, mianowicie nad etatem ministerstwa spraw wewnętrznych.

Borcic mówił o ekonomicznej nędzy w Dalmacyi, a potem zwrócił się przeciw wywodom Biankiniego, który podnosił nadużycia wyborcze w Dalmacyi. Przeciw podobnym rekryminacyom zaprotestował Borcic stanowczo.

Funke wziął na uwagę wyrażenie się prezydenta ministrów w komisyi budżetowej. Rząd nie spełnił swego przyrzeczenia, iż starać się będzie o zaprowadzenie pokoju między narodowościami. Hr. Badeni powiedział, że rokowania z Czechami nie dojrzały; musiały więc być jakieś rokowania. Mówcy przerywali często wykrzyknikami młodoczesi Kramarz i Purhardt. [illegible] wiał potem Haberman, a następ[illegible]awetter. Ten ostatni mówił [illegible]olizei" i o publicznem bezpieczeństwie. Gdy mówił o pierwszym temacie, sprawozdawca przerywał mu tak dowcipnemi uwagami, że cała Izba śmiechem wybuchała.

Po przemówieniach nakoniec Laginji i Proskowetza, dyskusyę przerwano i posiedzenie zamknięto.

TELEGRAMY.

Kraków 15. grudnia.

Obchód jubileuszowy Asnyka rozpoczął się uroczystem przedstawieniem w teatrze. Sala była przepełniona. Kiedy wszedł Asnyk wszyscy z miejsc powstali. Silne wrażenie wywarła kantata Żeleńskiego. Po teatrze odbył się bankiet w Grand hotelu. W bankiecie wzięło udział przeszło sto osób. Pierwszy przemówił prof. Balasits, potem Romanowicz, następnie Kotarbiński, który zakończył odczytaniem pięknego wiersza Tetmajera; dalej Kazimierz Skrzyński w imieniu Towarzystwa dziennikarskiego. Asnyk odpowiedział mową pełną poetyckiego zapału. Przemawiali jeszcze imieniem młodzieży p. Malawski i w imieniu malarzy Włodzimierz Tetmajer. Nadeszło wiele depesz, które odczytano. Depeszę marszałka hr. Badeniego przyjęto oklaskami. Uczta trwała do drugiej.

Wiedeń d. 15 grudnia.

Dzisiejsza audyencya króla Aleksandra serbskiego dotyczyć ma pojednania się tegoż z Milanem. Król Aleksander zjechać się ma w Lincu z Milanem, później nastąpiłoby jeszcze spotkanie z Natalią i ogólne pojednanie.

Nelidow odjechał wczoraj wieczór do Konstantynopola.

Wiedeń d. 15. grudnia.

Deputacya Rusinów, złożona z kan. ks. Bieleckiego, kan. ks. Borsuka, kan. ks. Czemeryńskiego, burmistrza złoczowskiego Borsukiewicza i posła Barwińskiego była wczoraj na audyencyi u cesarza i złożyła wyrazy lojalności i wdzięczności za nadzwyczajne wyszczególnienie metropolity ks. Sembratowicza przez zamianowanie tegoż kardynałem.

Cesarz odpowiedział, iż cieszy się, że mógł ruskiej narodowości i ruskiemu duchowieństwu okazać swoją przychylność.

Deputacya była następnie u prezydenta ministrów hr. Badeniego i ministrów Bilińskiego, Rittnera i Gautscha i przedłożyła im sprawę kongruy i ustawy pensyjnej dla wdów i sierot po księżach ruskich.

Budapeszt d. 15. grudnia.

Komisya budżetowa przyjęła bez zmiany: fundusz dyspozycyjny i etat ministerstwa spraw wewnętrznych, ministerstwa handlu i ministra a latere.

W sejmie przy debacie adresowej przyszło do scen burzliwych w skutego, że Kornel Abranyi, który w sprawie ugody austro-węgierskiej jeszcze w zeszłym roku do opozycyi należał, obecnie otwarcie wystąpił za podwyższeniem kwoty węgierskiej. Podczas jego mowy lewica nieustannie wykrzykiwała.

Tryest d. 15 grudnia.

Od 7. do 13. bm. zdarzyło się tu wypadków tyfusu 487 wśród ludności a 391 w garnizonie wojskowym. Przebieg tyfusu jest jednak bardzo łagodny, gdyż razem umarło tylko 15 osób.

Kolonia d. 15. grudnia.

Koeln. Ztg. donosi z Petersburga, że i tam panują zaburzenia studentów z powodu afery studentów moskiewskich. Wczorajsze zgromadzenie studentów w Petersburgu było bardzo burzliwe.

Berlin d. 15. grudnia.

Petersburski korespondent *Berl. Tageblattu* donosi: Nelidow otrzymał instrukcyę występywać w Konstantynopolu zrazu wyczekująco, odpowiednio pokojowej polityce Rosyi. W razie, gdyby się samej Turcyi nie udało zaprowadzić porządku, da zapewne Nelidow reszcie ambasadorów do zrozumienia, że w razie potrzeby gotowa Rosya podjąć się uporządkowania Turcyi, a to jeżeli reszta mocarstw na to się zgodzi. O komplikacyach wojennych Rosya wcale nie myśli i nie zejdzie z torów polityki pokojowej.

Rzym d. 15 grudnia.

Dzienniki donoszą, że biblioteka ministerstwa handlu, licząca 6.000 tomów, wartości 40.000 franków, znikła; zostało się tylko 17 tomów. Były dyrektor w ministerstwie handlu Miraglia postąpił sobie z nią jako swoją własnością.

Ateny d. 15. grudnia.

Rząd zażądał kredytu 2,600.000 drachm na założenie stałego obozu wojennego i inne cele wojskowe.

Londyn d. 15. grudnia.

Do *Timesa* donoszą z Aten, że tajne komitety pracują nad tem, aby na wiosnę wybuchła rewolucya w Macedonii i aby na Krecie wywołać nowe powstanie i w ten sposób odwrócić uwagę Porty od Macedonii. Na Kretę odeszło podobno kilka transportów broni.

Wiadomości giełdowe

Wiedeń dnia 15. grudnia. Przy zamknięciu wczorajszej giełdy notowano kredyty 374·25. Kredyty węgierskie 410·50. Unionbank 294·—, Länderbank 248·—, staatsbany 359·—, Lombardy 94·25, kolej północno wschodnia 274·—, tytoniowe 147·—, Rima 237·75, Alpiny 86·50, renta majowa 101·30 losy turec. 51·10, Marki 58·93.

Berlin dnia 15. grudnia. Przy zamknięciu wczorajszej giełdy notowano: kredyty 232·50 (370·88), staatsbany 152·25 (358·13), lombardy 40·50 (94·84).

Frankfurt dnia 15. grudnia. Przy zamknięciu wczorajszej giełdy notowano Kredyty 316 — (373·67), staatsbany 303 — (358·71), lombardy 82·75 (95·54), alpiny 157·25 (167·75).

Cyfry oznaczone klamrami oznaczają wiedeński paritāt.

— **Wiedeń** 15. grudnia. (Telegram *Gaz. Nar.*) Dzisiaj o godz. 2. minut 10 w południe notowano na giełdzie wiedeńskiej: kredyty 373·25, węg. zakład kredytowy 409·—, anglobanki 157·—, lenderbanki 247·50, koleje państwowe 358·25, elbethal —·— akcye tytonio we 147·50, alpiny 87·30, losy tureckie 51·70, unionbanki 294·—, ruble 127·75.

Wiedeń d. 14 grudnia.

Ważniejsze zmiany kursów w ostatnim tygodniu były następujące:

	5. grudn.	14. grudnia
Renta papierowa	101·30	101·30
Austryacka renta koronowa	100·75	100·80
Renta srebrna	101·30	101·35
Renta złota	122·70	122·70
4 prc. węg. renta złota	122·25	122·25
Węg. renta koronowa	99·15	99·15
Anglobanki	153·50	154·50
Węg. Bank kred.	403·50	407·25
Zakład kredyt.	365·—	369·25
Bank związk.	255·50	255·75
Austr. węg. Bank	936·—	935·—
Unionbanku	288·75	290·50
Austr. zakład kred. ziemsk.	445·—	446·—
Länderbanki	246·25	245·75
Alpiny	85·90	86·85
Nordbany	3375·—	3385·—
Austr. kolei północno-zachod.	269·50	269·75
Kolej doliny Łaby	274·25	273·75
Kolej państw.	354·75	358·25
Kolej połud.	94·50	94·—
Marki papierowe	58·83½	58.90

Z rynków towarowych.

Wiedeń dnia 15. grudnia (Tel. „Gaz. nar.". Spęd 5430 sztuk, ceny za woły galicyjskie liche lekkie od 28 do 31, ciężkie od 32 do 34. osobliwe, prima od 35 do 37.

Teodor Romaszkan, dom komisowy bydła we Wiedniu Wassergasse 23.

Wiedeń dnia 14. grudnia.

Ważniejsze zmiany cen w ubiegłym tygodniu na rynku tutejszym były następujące:

	najniższe		najwyższe
pszenica na wiosnę	8·39	—	8·49
żyto na wiosnę	7·10	—	7·18
owies na wiosnę	6·31	—	6·35
kukurudza na maj-czerwiec	4·29	—	4·33
rzepak na styczeń-luty	13·—	—	13·10
rzepak na sierpień-wrzesień	11·75	—	11·85

Nadesłane.

(Za tę rubrykę redakcya nie odpowiada.)

42

LENA

powieść współczesna

z niemieckiego.

(Ciąg dalszy.)

Erk wzruszony był dobrocią, jaką go tu otaczano; niskim ukłonem pożegnał księcia i pospieszył do swego mieszkania.

Było mu jakoś ciężko i smutno na sercu.

Nie mógł sobie przecież nic lepszego życzyć, jak wśród tej samotności leśnej między tak miłymi ludźmi spędzić czas jak najdłuższy.

A przecież może właśnie z powodu tej ciszy czuł dotkliwie żądło w sercu i walkę najsprzeczniejszych myśli, burzę najdziwniejszych uczuć.

Dręczyło go przedewszystkiem to, że małżonkiem tej pięknej kobiety jest właśnie człowiek pełen głębokich i rzetelnych zalet wewnętrznych, pełen szlachetnych przymiotów serca, które czcić musiał, człowiek, który otaczał go taką gościnnością, taką nieograniczoną ufnością. Potem znowu obraz księżnej nasunął mu się przed oczy, w całym swoim uroku cudzoziemskim i odrębnym od rysów germańskiej niewiasty i zbudziły się w nim wszelakie głosy pokus i buntownicze myśli, które podniecała gorycz i rozpacz po utraconej miłości i przyjaźni.

Trzymając zgasłego papierosa w zaciśniętych ustach, siedział w swym wygodnym pokoju, ozdobionym pięknymi meblami i patrzył na dziedziniec, na którym szumiał deszcz ciepłemi padając kroplami. Dręczył sam siebie i ciągle nad temi samemi rozmyślał kwestyami: Co robić? jak postąpić? Wreszcie uspokajał się głośno prawie powtarzając oklepane frazesy, że nikt losowi swemu oponować nie może i nie zmienić tego, co w gwiazdach zapisane.

Służący pouczył go, że o siódmej oczekują go przy obiedzie.

Zastał to samo towarzystwo, w tych samych komnatach z wyjątkiem doktora, który miał pozwolenie nie jawić się wieczorem na salonach, używając tych godzin dla swoich studyów prywatnych.

— Nie odczujesz pan zapewne braku kamiennego gościa — szepnęła hrabina Waldsteinowa do swego sąsiada. — Zbadawszy prędko, że moje wiadomości matematyczne ograniczają się na wiedzy, że dwa razy dwa jest cztery, (jakkolwiek dałabym sześć, że w pewnych wypadkach mogłoby być trzy lub pięć) zrzekł się wszelkiej rozmowy ze mną. Cóż pan robiłeś po obiedzie? Sądziłyśmy, że zechcesz pan ofiarować nam jakąś chwilę. Natrętnym być? co za myśl! czasem jesteśmy zadowolone, jak mysz gryzie za ścianą. Wyobrażam sobie, że w grobowcu na moim starym czeskim zamku musi być właśnie tak zabawnie, jak w dzień deszczowy w Buenretiro.

Po obiedzie, który nie trwał długo, ale składał się z doborowych dań, przeszło całe towarzystwo do salonu oświetlonego kilkoma wysokiemi lampami, w którym pod piękną estradą kwiatów stał ładny fortepian i niskie, które nęciły do siesty, kanapy, jedwabną obite materyą. Księżna ten fason właśnie lubiała.

Proszono Erka, aby pokazał swe szkice, przyniósł więc pół tuzina wielkich i małych zeszytów, zapełnionych rysunkami, które zdejmował w podróży po Azyi.

— Jestem posłuszny rozkazowi waszych książęcych mości — rzekł — ale przeważna część tej bazgraniny ma tylko wartość wspomnień, a nie wiem, czy znajdą się takie, któreby w oczach znawcy przedstawiały jaką wartość.

Książę stojąc za fotelem żony, która paląc cygareto, w milczeniu odwracała kartkę za kartką, rzekł do Erka:

— Moja żona i pan mieliście podobno wspólną nauczycielkę rysunków. Kiedyś pan brał lekcye u panny Valentin? Ona przecież jest znacznie młodszą od pana.

Erkowi ścisnęło się serce. O Lenie w teraźniejszem usposobieniu nie chciał mówić, a najmniej radby mówić o niej wobec księżnej.

— Przed wyjazdem do Japonii uczyłem się u panny Valentin. Nie miała dziewiętnastu lat, gdy była już ukończoną mistrzynią, a gdy się nadarzyła sposobność, prosiłem jej, aby mnie przyjęła do szkoły, bo obawiałem się, co począć w dalekiej obczyźnie mając wiele wolnego czasu; chciałem tedy wyćwiczyć się w rysunku, aby zapełnić te godziny. Niestety sześć tygodni tylko trwała nauka, bo zresztą pod jej ręką byłbym potrafił dalej doprowadzić. Panna Valentin jest znakomitą nauczycielką.

— O! tak — zawołał książę — i Rika bardzo wiele u niej korzystała. W ogóle jestem wielkim wielbicielem panny Valentin. Należy ona do osobistości, które bardzo wysoko cenię; powiedziałbym, że to natura najbardziej prawdziwa i prawdę ceniąca, jaką mi się zdarzyło w życiu spotkać.

— *Present company always excepted* — zawołała, śmiejąc się, hrabina.

Księżna zwykle nie zwracała uwagi na spostrzeżenia swego męża. W chwili, gdy jego wysokość raczył wygłosić te pochwały, patrzyła na Erka, który z dziwnym błyskiem oczu zważał na owe wyrazy, padające z ust najdostojniejszych. Szlachetne łuki jej gęstych brwi zbiegły się, fałdując czoło; podniosła głowę i rzekła dobitnie:

— Kochana Florencyo, nie zapuszczaj się w debatę. Wiadomo to przecie, że w oczach księcia panna Valentin jest doskonałością, posiadającą wszystkie te przymioty, których brak zresztą rodowi kobiecemu. Małżonku mój, zapatrywanie twoje nie przynosi ci wstydu; podzielam go najzupełniej.

— Muszę się jaśniej wyrazić — rzekł książę, przez którego żółtawe oblicze rumieniec przeleciał. — Panna Valentin wydaje mi się dlatego tak niezwykle miłą, ponieważ nigdy nie zadaje sobie pracy, aby nią być; jest zawsze naturalną, niezmienioną, powiedziałbym, wierną samej sobie.

— My zaś — zawołała wesoła a przekorna hrabina — musimy robić wysilenia i uciekać się do [illegible], aby okazać się miłemi. Racz wasza książęca mość pozwolić, iż zrobię uwagę, że jest to tylko dowodem skromności, jeżeli nie chcemy pokazać się w najlepszem świetle, wolimy zrobić toaletę przyjemnej i miłej kobietki. Pannie Valentin zdaje się, iż woale tego nie potrzebuje; może ma i racyę, *la nature l' a fait pour elle.*

Książę ukłonił się z wdziękiem szarmanckiego dworaka:

— Hrabino, pani wiesz, że ja nawet te małe złośliwości pani znajduję bardzo miłemi. Ale to przecież każdy przyzna, że panna Valentin nie zważa wcale na to, jakie wrażenie wywołuje na swem otoczeniu i na tem właśnie polega szlachetność jej istoty. Widocznie krew arlesańska jest szlachetnymi przesiąkła sokami, a nie zepsuła jej przymieszka germańskiego ojca, bo był on także wysoce szlachetną i artystyczną duszą. Nie robiłem nigdy tajemnicy z tego, iż panna Valentin jest moją słabą stroną i dlatego spodziewam się, Riko, że uprzedzisz mnie, kiedy ma tutaj przybyć na lekcyę. Jeżeliby pan Friesen chciał także wziąć w tem udział, moglibyśmy założyć na prędce małą akademię.

(C. d. n.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kos[illegible]cki.

Z drukarni i li[illegible]